№ 32.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 28 Lipca / 9 Sierpnia 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycje kop. 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hosicka, Ulica Senatorska Nr. 496, *w Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

FELICJAN FALEŃSKI.

(Dokończenie).

Liryzm Felicjana z bólu wziął początek. Najpierwsze jego ale już nie tę pierwszą, szaloną, gotową świat cały stopić w jednym uścisku, — raczéj ostrożne, kryjące się pod chłodną maską uczucie, które nieraz cierniem rzeczywistości zranione, coraz więcéj w głąb serca się cofa.

Filozofią swych rosczarowań streszcza poeta, z bolesnym uśmiechem, w epilogu do powiastki: „Zdaleka i Zblizka."



NAPAD ORŁÓW NA JELENIA. (251).

utwory były pieśniami cierpienia. — Z całego życia społecznego, tylko jęki i płacze torowały sobie drogę do ducha poety, strojąc jego lirę na nutę smętną i rzewną. — Znać tam jeszcze miłość ludzi,

„Na dworze Króla żołędnego, żenił się Tuz, ulubieniec królowéj, z kralką, ulubienicą króla..... Tańczono właśnie mazura.... podskakuje do mnie pan fil czerwienny, bardzo salonowy młodzie-

niec, (dziwnie lubiący *gadać* o uczuciach), prowadząc za ręce dwie damy do wyboru w figurze. — Powiada mi ich przezwiska. — Jedna, jak dziś pamiętam, — nazywała się *nadzieja*, druga *pewność*.— Ciekawy choć raz w życiu zobaczyć, jak wygląda *nadzieja*, wybieram ją co prędzéj. Wyobraźcie sobie moje zadziwienie: była to dama — chuda, — straszliwie chuda! Co do drugiéj, był to nie kto inny, —tylko dama pikowa, owa dobra niegdyś znajoma Puszkina, która biednemu Hermanowi pomięszała klepki w głowie, tém tylko jedném, że spojrzała na niego, przymrużywszy lewe oko, wtedy, kiedy już leżała na katafalku.“

W taki sposób przedstawiał się już wtedy Felicjanowi stosunek człowieka do życia. *Nadzieja* zwodnicza i *pewność* zawodna. — Mysl poety nie dobadywała przyczyn, ale zrażona samymi objawami, nakazała uczuciu zamknąć się w sobie i nie wracać już więcéj do świata.

To odosobnienie od życia, stanowi cechę stanowczą poezyi Felicjana. — W powiastce Zdaleka i Zbliska, poeta odtwarzał jeszcze postacie z dzisiejszéj teraźniejszości, — przedstawiając je objektywnie, z porywającą prawdą szczegółów i całości; — odtąd kreśli już tylko wrażenia osobiste, szukając ideałów bądź w bohaterskiéj przeszłości, bądź też w harmonijnych kształtach natury.

Zanim przejdziemy do tego drugiego peryodu działalności Felicjana, niech nam wolno będzie zatrzymać się przez chwilę nad dwoma utworami z młodzieńczych lat poety, które najlepiéj stan duszy jego malują.

W pierwszym, noszącym tytuł „Kochanka piewcy“ strofami, z których najprawdziwsze łzy tryskają, wyśpiewane są dzieje miłości poety.....

Posłuchajmy jak jego ukochana się żali:

Co tobie? — panie mój? — Przed chwilą jeszcze
Byłeś ten sam co zawsze?
Od brzmień twéj pieśni jeszcze liść szeleszcze.
Grą pereł, w których tęcza blask spromienia,
Jeszcze z roskoszy drży kwiecie co łzawsze,
Słowik się jeszcze nie ocknął z zdumienia,
I toń — zrównana nad szyby najgładsze,
Nie śmie fal pluskiem zmącić brzmień twych pieni.....
A tyś posmutniał! — Co tobie?... Mój Boże,
Duch twój utonął w dumie, wzrok w przestrzeni....
O czém ty dumasz? Co tam masz w przestworze?
Biadaż mnie, biada! Ja gdy w ciebie patrzę
I mnie się w oczach świat mieni.

Czyś ty już nie mój? — Och! bom ja zazdrosna
Téj mglistéj dali, co twój wzrok pochłania.
Nie patrz tam, nie patrz! — Cóż ci świat, co wiosna?
Jam wiosna, świat twój! — Bóg w chwili stwarzania,
Jedno dał serce w dusze nasze obie,
Jam jest modlitwa, ty pieśń — dwie połowy!
Niechcesz że ty już być moim?
Wszak ja przy tobie?
Przemów ty do mnie. — Mnie żyć twemi słowy,
Jak tchem, jak światłem, w które byt nasz stroim,
Ale ty milczysz.... Och blask w cień się zmienia
Mnie strach twojego milczenia.....

Z obrazka tego przegląda blada, smutna twarz poety, którego serce trawi tęsknota, nawet wśród upajających pieszczot ziemskiéj miłości. — Tęż samą bladą, zadumaną twarz odtworzy sobie myślący czytelnik w każdym utworze Felicjana.

A oto znów ją mamy przed sobą.

„Jam już nie ten, co wczora“ — woła poeta w utworze p. t. „*Smutna dusza*“, — jawa zła jak zmora, snem mi się wydaje; budzę się ze łzą o poranku, — usypiam z tęsknotą.

„Było niebo jasne i szczęście, ale przepadło gdzieś na świecie, a teraz czczość tylko i nuda.“

„Może to nie było wcale, — może będzie dopiero.

Możem przejrzał cudu siłą,
Przed kolebką, za mogiłą?
Możem ja nie żył, a dziś żyję?
Możem ja żył, a dziś nie żyję?
Możem ja w śnie lub błędzie.“

Pokłócona z rzeczywistością myśl Felicjana, zasłaba aby ruchliwą grę kontrastów życia w całości ogarnąć i wytłumaczyć, zwróciła się ku rospatrywaniu świetnych czynów historycznych. — Trzy poematy w tym kierunku szczególniéj zwracają uwagę.

„Termopile“ tworzone gorączkowo, naszkicowane zaledwie, wypłynęły całkowicie z natchnienia. — Poeta nie zapanował tu nad przedmiotem, ale go odczuł. — Malowidło całe jest zamiękkie, zamało dosadne, — postawom brak ruchu i samodzielnego życia,— a prześliczna muzyka wiersza, bogactwo porównań i określeń nadają temu utworowi niepoślednie w literaturze stanowisko.

Najpiękniejszém dziełem Felicjana, są „*Żale Jeffity*“ (drukowane w Tygodniku Illustrowanym). — Jakże uroczo płacze ta dziewczka, wyrokiem losu przeznaczona pod nóż ofiarny, w pierwszéj wiosny życia zaraniu. Z jakim artyzmem przeprowadził poeta boleść tę przez wszystkie odcienia, aż do chwili, gdy myśl poświęcenia zbroi duszę odwagą i siłą! Cały poemat trzymany w tonie biblijnym, robi wrażenie szczytnéj modlitwy.

W utworze poetycznym „pod Kannami“ (Kłosy) pisanym w daleko późniejszym czasie, znać już pewne wysilenie; manierę w formie, konwencyonalność w treści. Cały obraz walki, zapełniający większą część poematu, jest kamienny i martwy. — Felicjan owładnięty wielkością przedmiotu, nie umiał podnieść się do wysokości malarza historycznego i pozostał kopistą. Opisywał, ale nie odtwarzał. Zamknął się ściśle w ramach dziejowego podania, — po nad które myśl własna, samodzielna, porządkująca i sądząca,— wzbić się nie była zdolną.

Ukorzenie ducha przed potęgą Bożą, stało się ostatecznym wyrazem filozofii Felicjana, a, przejawiło się najsilniéj w pieśniach natury, zatytułowanych: „Odgłosy z gór“.

Felicjan nie pieści się z naturą, jak Lenartowicz. W obrazach jego, nie ma tych roskosznych, tajemniczych dźwięków „które w poezyi Lenartowicza zdają się być podsłuchane w naturze.— Felicjan przypatruje się majestatycznym krajobrazem ze spokojem myśliciela, — doszukuje związku, harmonii, przyczyn i praw. — Źródłem liryki obrazowéj u Lenartowicza jest natchnienie, —u Felicjana refleksya. Tam przeważa koloryt wdzięku, — tu poważnéj zadumy. — Lenartowicz kocha naturę, ze wszystkiém co w niéj znajduje — upaja się pięknością barw i woni, na roskosznem jéj łonie gotów śpiewać jak słowik hymn wiecznego uwielbienia; — Felicjan zachwyca się więcéj myślą jak sercem, a cała natura przedstawia mu się jak olbrzymi ołtarz, przed którym wygnańcy ziemi składać winni ofiary wyższéj czci i pokory.

Dwa dramaty Felicjana, *Powstanie w Dalekarlii* i *Syn gwiazdy*, oceniane na dwóch konkursach lwowskich, — uznane zostały przez komitet za dzieła wysokiéj wartości poetycznéj, którym jedynie brak sceniczności nie pozwala przyznać oznaczonego *premium*.

Streszczając wszystko, cośmy wyżéj o Felicjanie powiedzieli, przychodzimy do wniosku, — że jest on poetą przeważnie lirycznym, w większéj części swych utworów prawdziwie natchnionym, a nadewszystko piękną i rozmaitą formą wiersza władającym. Uczucie wyprzedza u niego prawie zawsze myśl (z wyjątkiem Odgłosów z gór), — co nadaje poezyi jego charakter częstokroć niejasny i zamglony. — Epos równie jak dramat rozpływają się u niego w łony żałosnéj elegii. — W liryzmie jego brak szerszéj inwencyi poetycznéj, — nie dla tego, żeby naśladował drugich, — ale dla tego, że osią jego twórczości była zawsze własna osobistość. Wprawdzie duch artysty musi być obecnym w każdéj kreacyi — ale ta kreacya jest nim i czémś odrębném, posiadającém własne żywioły życia. Kreacye Felicjana są tylko nim samym. — Mówią jego językiem, myślą jego myślami. Ale uczucia i myśli które wyrażają, są szczere i podniosłe, stoją na wyżynie sztuki i przyoblekają się w jéj piękne kształty.

W chwili, gdy to piszemy, poeta pracuje nad całkowitym przekładem dzieł Petrarki. Praca ta, jeżeli zostanie skończoną, znakomicie wzbogaci naszę literaturę, która tak mało dobrych przekładów arcydzieł posiada.

K. Ł.

O SILE W CZŁOWIEKU.

(Dalszy ciąg).

Widzieliście zapewne kiedy i widzieli może wszyscy, lwa z samicą i lwiątkiem, zamkniętego w klatce, w jednéj z podróżujących maneżaryj.

W granicach klatki swojéj, lew jest tam pełnym panem siebie. Może kłaść się, wstawać, przechadzać się i kłaść znowu — zatrzymywać się wzrokiem urągania i nienawiści na wszystkich, którzy wzajem urągają jemu — ryczeć, gdy mu się przypomina puszcza — wszystkim namiętnościom swoim i wszystkim żądzom czynić jedném słowem doraźną i natychmiastową folgę —

tak jest.. ale to wszystko w granicach klatki tylko. Po za nią bowiem...

Po za nią — stoi społeczeństwo ludzkie, w osobach kilku lub kilkunastu zeswoich przedstawicieli, którzy, jak na ten raz, przyszli tam na to jedynie, aby się kosztem lwa zabawić i kosztem jego próżną nasycić ciekawość.

Społeczeństwo to wyrobiło sobie prawo do takich przyjemności.

Chce ich używać bezpiecznie i spokojnie —

Lew jedném poruszeniem się daléj niż trzeba, jedném wyciągnięciem łapy poza granicę klatki swojéj, mógłby spokój użycia praw tych jego zamącić mu i zakłócić..

I otóż..

niech lew się szamocze —

kraty trzymają dobrze —

widzowie szydzą wesoło z daremnych wysileń *króla puszczy*..

Lecz patrzcie —

Do klatki wchodzi, z małą tylko laseczką w ręku, człowiek jakiś.

Mówią — to *pogromca*.

Wchodzi.. i stanąwszy w pośrodku lwiéj rodziny jak lew nowy, wita się z nią, rozmawia, igra z nią, wydaje jéj rozkazy — szamoce się z lwicą — z lwiątkiem drażni..

Ten człowiek siłą ciała swego niższym jest o stokroć od jednego nawet z trojga zwierząt.

Czemuż słuchają go tak i są mu tak pokorne?

Czy lew zmienił odrazu naturę?

Drapieżność jego czy zmniejszyła się nagle?

Nienawiść do ludzi, gniew za doznane zniewagi, ustąpiły?

Nie.

W klatce w téj chwili odgrywa się tylko dramat *praw* natury utrzymujących w równowadze *życie*.

Rozum jednéj istoty wyższéj o tyle i tyle szczebli od tegoż rorumu drugiéj, ujarzmia tę ostatnią i sile jéj fizycznéj milczeć każe.

Lew wié, że panem będąc w puszczy, jest tu niewolnikiem.

Samica czując miłość do swojego lwiątka i odczuwając razem, że poddanie się jéj człowiekowi stanowi o życiu tegoż jéj dziecka,— staje się pokorną jak owca.

W lwiątku gra także powszechna własność dzieci—niewolniczego naśladowania wszystkiego, co robią rodzice.

Wiedza człowieka ma o tém wszystkiém poznanie — liczy na to wszystko — na prawa te—na własności.

I oto...

cisza w klatce —

Człowiek z tytułem pogromcy — z tytułem tym i tylko.. laseczką małą w ręku, wyszedł cały i nieuszkodzony, ani na włosku nawet, z przybytku gniewu, szaleństwa i drapieżności.

W obrazku tym mamy obraz ludzkiéj *woli* i ludzkiéj *siły*.

Wolą *lwa* jest nasza wola i *lwią* siłą siła nasza.

Natura nasza jest wynikiem natur wszystkichistot i wszystkich przedmiotów istniejących w świecie. Działa w swoim zakresie o tyle tylko, o ile wspólność ta jéj ze wszystkiemi innemi naturami jéj nakazuje.

Ani chęci nasze nie są wyższe nad nas samych, ani możność spełnienia ich nigdy wyższą nad cel powzięty.

Poruszenie się nasze każde, gest każdy, choćby najmniejszy, ma przyczynę swoję w dalekim szeregu wypadków i zdarzeń odbywających się na wszystkich razem światach — jest ostatnim wynikiem wszystkich faktów poprzednich.

Z tą naturą swoją stajemy w obec natury wszech-rzeczy.

Wolno jest nam wtedy dużo robić i działać — wiele chcieć bardzo i wiele bardzo spełniać — ale..

Wolno o tyle tylko, o ile czyn nasz żaden, żadna chęć nasza, w niczém porządku ogólnego rzeczy, przez prawo wieczne i wyższe nad nas samych, ustanowionego, nie narusza i nie mąci.

W przeciwnym razie — gdyby ten czyn jakikolwiek miał wypełnieniu się choćby drobnostki nawet prawem wiecznėm przepisanéj i uznanéj za konieczną, przeszkodzić, — wola nasza się pali jak błysk na panewce — wola nasza jest niczém — nie ma jéj wcale.

Kraty klatki, w którą zamknięci jesteśmy, choć nie żelazne, trzymają lepiéj jeszcze niż tamte w menażeryi i, jeżeli są istoty przypatrujące się nam z góry, to te bardziéjby jeszcze drwić z wysiłków naszych i z nas wtedy mogły, niż my ze lwa i z szamotań się jego.

Taką jest *wolna wola.*
A teraz ... *siła.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NAPAD ORŁÓW NA JELENIA.

Rycina którą dziś na czele, podajemy, wyobraża dwóch orłów rzucających się na jelenia. Zwierzę przed chwilą dopiero pasło się z całą swobodą, śród zieleniejących gór i krzaków. — Nagle, instynktowo poczyna uciekać... Dwa olbrzymie orły spadają jak piorun, ze straszliwym świstem, na przelęknioną ofiarę, a z chwilę jeden z ptaków ucztuje już na zakrwawionym grzbiecie jelenia.

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Trzeba-ż nam chyba uderzyć się w piersi i przeprosić „Bibliotekę Warszawską” żeśmy jéj w sprawozdawczym naszym prassy warszawskiéj przeglądzie, na pierwszém nie postawili miejscu. W istocie bowiem możnaby o téj poważnéj staruszce powiedzieć toż samo co autor „Pana Tadeusza” powiedział był o „Podkomorzym siadającym zawsze na przedniejszém przy stole miejscu:

„Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy”
„Idąc, kłaniał się damom, starszym i młodzieży”

Bo i Bibljoteka ma wiek i... urząd niemały, a idąc od lat trzydziestu po manowcach, z dołu pod górę i z góry na dół, kłania się z jednaką uprzejmością lub może zaspanym indyferentyzmem tylko— wszystkim zarówno pojęciom i wszystkim ideom, nie wybrawszy sobie żadnego stałego godła ani też żadnéj nie nosząc stale barwy.

Dziwny to fenomen w literaturze a może nawet jedyny przykład, ażeby pismo istniejące z tak dawna, które złożyło się już na półkach Redakcyi w 126 tomach— w stu dwudziestu sześciu—wyraźnie—co stanowi około 360 oddzielnych zeszytów miesięcznych, ażeby tedy pismo takie, nie mogło przez czas tak długi i przez taką ogromną produkcję, wyrobić sobie wydatnego w literaturze stanowiska.

Wprawdzie, kilkakrotnie w swojém, przeszło ćwierć-wiekowém życiu a raczéj wegetacyi, Biblioteka podrywała się do lotu, lecz było to jakby podrywanie się spłoszonego strusia, kończące się podobnież jak u owego pustyniowego ptaka, schowaniem głowy w piasek gorący...

Słyszeliśmy wielbiących wytrwałość tego pisma, które tak mało popierane przez publiczność, istnieje przecież ciągle i uparcie postępuje po obranéj drodze. – Co do nas, oddajemy wprawdzie

hołd szczupłéj gromadce ludzi, może najlepszéj nawet woli, którzy z taką wytrwałością a i bezinteresownością nawet, poświęcali lub poświęcają swoje prace i fundusze na podtrzymanie Biblioteki, która bez takiego poparcia, oddawna już by upadła, lecz to bynajmniej nie obowiązuje nas do przyznania zasługi samemu pismu, które aż dotąd nie mogło zdobyć sobie takiego koła czytelników iżby trwało o własnéj sile. Rozumiemy wspieranie funduszem i pracą pisma w samém jego zawiązku, gdy jeszcze publika nieświadoma ani dróg jego dalszych ani zasad ani wartości literackiej, nie spieszy doń z zapisami; wtedy wspieranie takiego przedsięwzięcia jest nietylko czynem pożytecznym ale nawet poniekąd obowiązkiem ludzi możnych, takich zwłaszcza, którzy miłują umysłowe rzeczy lub choćby tylko nawet pozują na protektorów literatury i sztuki—ale jeżeli pismo jakieś trwa lat kilka i przez ten czas nie potrafi sobie wyrobić a wyrobiwszy utrzymać takiego koła czytelników, które istnieniu jego materyalne podstawy zapewnia, to widać że egzystencya takiego pisma jest niepotrzebną, a fundusze na podtrzymanie jego dawane, pożyteczniéj by użyć można. W świecie umysłowym nie pojmujemy inwalidów i gracyalistów—można wspierać ludzi okaleczałych lub ubezwładnionych pracą, wiekiem czy wypadkami życia, ale organów intellektualnego ruchu, przedstawicieli idei społecznych lub krzewicieli nauk czy oświaty, wspiera się tylko dotąd, dopóki się poznać nie dadzą; jeżeli zaś nie potrafią istnieć o własnéj sile, i potem jeszcze, to znać że są słabi i niepotrzebni zgoła.

W chwili gdy Biblioteka Warszawska zawiązywała się dopiero a było to, o ile pamiętamy, w 1840 czy też w 1841 roku,—ówczesny stan literatury w Warszawie usprawiedliwiał zupełnie żądanie dla niéj materyalnego poparcia; wówczas bowiem, koło czytelników było tu nadzwyczaj małe, a cyfra ludzi gotowych do kupowania lub prenumeraty dzieł, zwłaszcza poważniejszéj treści, redukowała się do jednostek. Nakładców na dzieła głębszéj wartości a nawet i na belletrystyczne prace, wcale nie było—zbieranie zaś prenemeraty przez autorów samych—równało się żebractwu prawie. „Nadwiślanina” założonego przez kółko młodzieży, pod przewodem pełnego talentu, zawcześnie zmarłego poety, Seweryna Filleborna, stryja sławnego śpiewaka naszego, czytano wprawdzie i chwalono nawet, lecz popierano materyalnie tak skąpo, że redakcya nietylko postronnym pracownikom płacić nie mogła, lecz sobie saméj nawet na najpierwsze potrzeby pisma zaledwie starczyła i to dzięki jedynie bezinteressownéj kallaboracyi tego gronka młodzieży, która gorejąca miłością dla ojczystego piśmiennictwa. pałająca żądzą sławy, ufna w własne siły i w dobrą wolę ogółu, pracowała o suchym chlebie, nie roszcząc sobie żadnych za trud swój pretensyj. E. Chojecki, J. Dziekoński, E. Dębowski, T. Fillebron, J. Kenig, Lenartowicz, F. H. Lewestam, J. Miniszewski, Ludwik i Cypryan Norwidowie, A. Czajkowski, H. Skimborowicz, W. Szymanowski, W. Wolski, Au. Wilkoński, R. Zmorski, a z kobiet Gabrjela (Żmiechowska), oto mniéj więcéj wszystko co podówczas, wcześniéj lub późniéj nieco, stanowiło zastęp ludzi piszących, częścią do Biblioteki Warszawskiéj, częścią zaś do Przeglądu Naukowego, Nadwiślanina i kilku innych pism wychodzących w Warszawie. Jednakże Biblioteka Warszawska i wtedy już, po nimo nowości swéj egzystencyi i silnego ze strony zamożniejszéj klassy poparcia, szwankowała na taki sam brak życia i niedostatek barwy, jakie ją odznaczają po dzień dzisiejszy.

Redakcya jéj kusząc się o zdobycie sobie jakiegoś poważnego naukowego stanowiska, zamieszczała wprawdzie niekiedy cenne nawet artykuły z dziedziny ekonomii politycznéj (Al. Kurtz,) prawnéj (F. Zieliński) geologii i zoologii (Zeiszner i A. Waga) lub filozofii (Au. Cieszkowski i Al. Tyszyński), lecz w prowadzeniu pisma brak było zawsze programu, idei, a nadewszystko życia. Niekiedy usypiające jéj istnienie przebudzał odblask jakiegoś świetnego wiersza, C. Norwida lub T. Lenartowicza—lecz zaraz potem zostawała znowu w jéj szpaltach letargowa cisza.

I taki sen letargiczny na kwiatach złudzenia raz owładnąwszą Bibliotekę Warszawską, trwa dotąd jeszcze. Staruszka ta już zgrzybiała całkiem, żadnego prawie znaku, nietylko życia lecz czucia nawet, nie daje. Jedyne pióro które tam rozrzucało niekiedy skry żywotne, Węgierskiej, piszącéj dział. „Kroniki paryzkiej” wypadło z rąk zmarłéj autorki i dziś, doprawdy, sami nie wiemy, czy obyczajem staroświeckim mamy życzyć: zdrowia szczęścia i pomyślności téj staruszce, któréj żywot jest niepożyteczny nikomu, a zgon żadnéj nie zostawi spuścizny...

A jednak... jest to jedyne u nas w tym książkowym formacie wychodzące pismo; i gdyby zamiast spać lub błąkać się po rozstajach, czuwało i energicznie po jednéj poszło drodze, gdyby redakcya jego zmieniona z gruntu, jeśliby nic lepszego wymyślić nie mogła, starała się naśladować takie wzorowe zagraniczne pisma, jak *Revue de deux mondes* i *Revue Britanique*; gdyby nadewszystko przeznaczyła dział przeważny na scisłą, głębszą i wyczerpującą krytykę naukową, literacką i artystyczną.—a nad tem wszystkiem zawiesiła słonce idei, pod którego ożywczymi promieniami, energia, zapał, słowem życie zakwitnąćby mogło—to odrodzona w ten sposób „Bibljoteka“ mogłaby nie tylko stać się pożyteczną literaturze, lecz nawet pochwycić jéj ster główny, zatrzymawszy jednę tylko Kronikę Florencką“, którą obecnie, od czasu do czasu, przesyła ztamtąd Bibliotece, Teofil Lenartowicz i gdzie mieszczą się ciekawe poglądy na sztukę i poezyą nowo-włoską, tém ciekawsze, że pisane są pełném miłości dla piękna a tak genjalném piórem. Bo nawet dział billetrystyczny słabo jest opracowany w Bibliotece. Wybór przełożonéj z angielskiego, składkowéj, dwóch autorów: Dickensa i Collins'a powieści „Bez wyjścia“, zamieszczonéj tam na początku b. r., wcale nietrafny — a oryginalna z drugiém *bez*, powieść Zacharjasiewicza „Człowiek *bez* jutra“, dotąd przynajmniéj, bo nie skończyła się jeszcze, dowodzi tylko, że zdolny ten autor także się zaspał duchem, jakby dla zharmonizowania swojego nowego utworu z barwą, a raczéj z bezbarwnością Biblioteki Warszawskiéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZY DAGESTANU

przez

K. Klonowskiego.

(Dalszy ciąg).

Jak nieszczególne są stosunki małżonków u górali, tak również i nieszczególne są stosunki dzieci do rodziców. Dzieci za dojściem do lat 15 uważają się za pełnoletnie i wówczas je żenią. Ludzie zamożni układają dla swoich dzieci projekty ożenienia, kiedy te są jeszcze niemowlętami. Żona wchodzi w dom rodziców męża jako pomocnica teścia, która zwala na nią wszystkie roboty, a sama poprzestaje na lekkich domowych zajęciach; posługuje się nią jak niewolnicą i daje uczuwać jéj wszystkie te nieprzyjemności które sama za młodu znosić musiała. Dobra matula przypomina ciągle synowi żeby się z żoną obchodził tak, jak kiedyś ojciec jego z nią się obchodził. Na nieszczęście te rady matczyne nie pozostają bez skutku i niemal zawsze wypełniają się literalnie. Synowa okazując rodzicom męża slepe posłuszeństwo, znosi cierpliwie wszystkie ich kaprysy. Lecz przychodzi czas kiedy role się zmieniają, kiedy tyrani stają się dręczonymi, a dręczeni tyranami.

Górale doszedłszy do lat podeszłych, kiedy już i zdrowie niepozwala im zajmować się gospodarką, całe swoje mienie, wyjąwszy pieniądze, oddają dzieciom, które stawszy się niezależnymi gospodarzami, okazują rodzicom kompletne lekceważenie i wzgardę; szczególniéj matce. Nie tylko połajanki, które górale nie uważają za nic złego, chociażby takowe wychodziły z ust kobiety, albo i panny, są udziałem rodziców, ale często i uderzenia muszą oni z bezsilnym znosić szemraniem. Starych nie sadzają z sobą do stołu, szczególnie kiedy w domu jest obcy człowiek; nie obmywają, ani też oszywają, źle karmią, i t. d. Słowem, starców, których naród wogóle szanuje, własne dzieci poniewierają. Taką to wdzięczność otrzymują górale od dzieci, w zamian téj miłości bez granic, którą od najmłodszych lat im ukazują. Kiedy żona zajęta jest robotą w polu, góral niańczy się bez ustanku z dziećmi, wypełniając wszystko co do niańki należy, nietylko bez odrazy, lecz ze szczególném upodobaniem i przyjemnością.

Zdolności umysłowe górali są nieposlednie; lecz poznawszy ich bliżéj, (a dla tego trzeba rok przynajmniéj w bliskich z nimi zostawać stosunkach, gdyż górale mają szczególniejszą zdolność udawać poczciwców, tak, że nieraz swoich nawet zdurzyć potrafią)— nie można nie dostrzedz, że rozumu swego na złe tylko używają. Wszystkie wady ludzkie w sposób rażący wykazują się w góralach; tém bardziéj, że ani wad, ani występków swoich nawet się nie wstydzą. Przysłowie ich niesie: bak kchoridab, rak kchoridab, — ciasne miejsce, ciasne serce.

Rzemieślników między nimi jest mało; nie ma adatu oddawać dzieci na naukę do rzemiosła; dość żeby umiały czytać koran i elmę. ([27]) Rzemiosła uczą się oni przypatrując się całymi dniami pracy kowala, złotnika i t. d., i stąd niektórzy są potrosze uniwersalnymi rzemieślnikami, jednocześnie kowalami, złotnikami, garbarzami, leczą rany, zajmują się konowalstwem, budowlą sakli, oraz ciesielskiém, stolarskiém i tokarskiém rzemiosłem. Ale mała ta liczba rzemieślników niknie w massie próżniaków, łamiących sobie głowę li tylko nad tém, jakby coś bez pracy zarobić; o co gdy uczciwą drogą trudno, przebiegły rozum górala nie waha się w wyborze drugich, mniéj godziwych środków do zarobku. Za rubla góral gotów nietylko podprowadzić bliźniego pod niezasłużoną karę, lecz i o utratę życia przyprawić. Na potwarców, kłamców, oszustów, którzy niejedną niewinną głowę poddali za Szamila pod miecz katowski — godło szariatu, górale zapatrują się z zawiścią i pewném uszanowaniem, stawiąc ich za wzór sobie, i starając się, na nieszczęście nie bez powodzenia, we wszystkiém ich naśladować.

III.

Branki Szamila

Jednego z pięknych dni Czerwca 1854 roku, księżna Anna Czawczawadze, stojąc na balkonie domu, w posiadłości swojéj Cynandałach, z gorączkowym pośpiechem nagliła służących do wynoszenia i układania podróżnych tłomoków, w skutek odebranéj wieści, że czeczeńcy zamierzają napaść na Cynandały.

Majętność ta leży o jakie mil ośm od Tyflisu i kilka wiorst od Telaw, na prawym brzegu rzeki Ałazani, w jednéj z najpiękniejszych okolic Kachetyi. Księżna zwykle spędzała w niéj lato z rodziną, od Maja do Października. Pogłoski o spuszczeniu się z gór czeczeńców zatrzymały ją w tym roku dłużéj w Tyflisie; lecz gdy powzięte, z wiarogodnego jak się zdawało źródła, wiadomości były zaspakajające, wyjazd na wieś został zdecydowany na 18 Czerwca.

Księżna zabrała z sobą pięcioro dzieci i guwernantkę, francuzkę, p. Drançay. Troje najmłodszych, córki, Tamara i Lidya, z których Tamara miała lat dwa, a Lidya trzy miesiące, i synek Aleksander czternastomiesięczny, (ostatnich dwoje przy piersi), jechały z matką, a dwie starsze córki, Salomea i Marya z guwernantką. Mąż księżnéj, generał książe Czawczawadze, towarzyszył im konno do Cynandał. Nazajutrz księżna stanęła szczęśliwie w majątku.

Do domu mieszkalnego, leżącego na wzgórzu, z jednéj tylko strony prowadzi stroma droga, po drugiéj stronie wzgórza otwiera się pionowa niemal przepaść. Cynandały cudnie latem wyglądają: mnóstwo kwiatów i winogradu, granaty, cytryny, migdały, brzoskwinie, pomarańcze, kapryfolje i róże, wszystko to kwitnie, składa się w owoc, lub dojrzewa, napawa cudną wonią powietrze, i bawi oko rozmaitością barw i kształtów.

W parę dni potém przyjechała do Cynandał siostra księżnéj Czawczawadze, księżna Barbara Orbeliani, wdowa po księciu Eliaszu Orbeliani, zabitym w czasie wojny z turkami. Z księżną byli: siedmioletni jéj synek Jerzy, synowica, księżniczka Nina Baratow'a, ciotka księcia Czawczawadze, księżna Tine, dwie mamki i dwie pokojowki.

Książę Czawczawadze, otrzymawszy rozkaz objęcia dowództwa nad jedną z fortec, odległą o parę dni drogi od Cynandał, musiał wkrótce pożegnać żonę. Rozkaz ten zostawiając kobiety same sobie, trwożył był trochę zaksiężnę, lecz mąż uspokoił ją, dowodząc, że nie ma się czego obawiać, gdyż z Tyflisu wysłano oddział wojska do Telaw, i że po kilkudniowych deszczach czeczeńcom niepodobna będzie przeprawić się przez wezbraną Ałazanię. W trzy dni potém książe pisał do żony, że pięć, do sześciu tysięcy górali atakowało fortecę któréj bronił, dodając, że może być zupełnie spokojną, gdyż forteca silna i ma mężną załogę.

Do 1 Lipca wszystko było spokojnie; ale wieczorem tego dnia ogromna łuna pożarna oświeciła nagle całą okolicę, w kierunku ku Telawom, i wkrótce z jednéj z gór spostrzeżono wszystkie domy okoliczne objęte płomieniem. Nie ulegało wątpliwości, że je podpalili górale, którzy mimo przewidzeń księcia, musieli przejść przez Ałazanię.

Tegoż dnia o godzinie jedenastéj przyszli do Cynandał z poblizkiéj wsi włościanie, uzbrojeni jak na wojnę, w celu namówienia księżnéj do opuszczenia pałacu i udania się z nimi do lasu; lecz księżna nie zgodziła się, gdyż mąż jéj zalecił żeby tylko po otrzymaniu od niego wieści o niebezpieczeństwie wyjechała z majątku. Nad rankiem włościanie rozeszli się, lecz o drugiéj po południu przybyli sąsiedzi prosząc na wszystko księżnę, żeby poszła z nimi do boru. Wieczorem widziano z tarasu jak pożar się wzmagał i zbliżał, tak, że księżna usłuchawszy nakoniec próśb otaczających ją osób, kazała pakować srebro, brylanty i co kosztowniejsze rzeczy.

O północy włościanin księcia, nazwiskiém Zurka, wybrał się pójść na zwiady. Wróciwszy za trzy godziny, objawił, że czeczeńcy strzelali do niego, a cztery czy pięć kul przeszyły mu nawet odzienie. Z tém wszystkiém można było jeszcze sądzić, że górale nie przeszli przez Ałazanię, gdyż płonące żniwa paliły się na lewym brzegu rzeki.

Na godzinę niespełna przed powrotém Zurki, jakiś kupiec ormianin znalazł się niespodzianie w pałacu i oznajmił księżnie, że mając przy sobie znaczną summę w pieniądzach nie śmiał iść dalej. Ponieważ człowiek ten mówił po ormiańsku, akcentem górali, księżna rozkazała służącym natychmiast go rozbroić i nawet strzelić doń w razie gdyby chciał uciekać. Zważywszy jednak po chwili, że mogła się mylić, kazała go przyjąć i mieć o nim staranie.

Księżna postanowiła wyjechać z Cynandał nazajutrz o szóstéj rano. Dwa razy posyłano po konie do Telaw, lecz oba posłańcy wrócili z odpowiedzią, że koni nie ma, i że tylko mogą być pojutrze, to jest, w niedzielę o siódméj rano. Cały ten dzień pakowano rzeczy do kufrów i tłomoków. Zurka ciągle nastawał na księżnę żeby natychmiast wyjeżdżała, że rzeczy będą mogły być wysłane nazajutrz, i że ją w drodze dopędzą. We dnie dwóch czy trzech wieśniaków przyszło umyślnie z lasu, znów prosząc księżnę żeby się za nimi udała, ale księżna sądząc że konie pewno przyjdą w niedzielę, oświadczyła że będzie na nie czekać.

Wieczorém wszystko było gotowe do wyjazdu. Obie rodziny zebrały się w pokoju księżnéj Orbeliani, dzieci ułożono spać, a światła na wszelki przypadek zgaszono. Sen jednak był dalekim od powiek starszych. Księżne wyszły na balkon, z którego można było widzieć, jak odległość między płonącemi wsiami i pałacem coraz się zmniejszała. Nakoniec łuna oświeciła całą okolicę, tak, że na przypadek napadu nie sposób było już myśleć o ucieczce.

O czwartéj z rana rozległ się od strony ogrodu wystrzał z ręcznéj broni. Nie można było go wprawdzie wziąć za hasło do napadu, ale mógł to być strzał sygnałowy. P. Drançay zeszła do ogrodu, aż do opuszczonéj kapliczki śród winnic, i postrzegła w gaiku nad brzegiem przepaści człowieka z bronią w ręku, który według wszelkiego podobieństwa dał ów sygnał. Czy był to przyjaciel lub wróg, trudno było odgadnąć. Guwernantce jednak zdawało się, że człowiek ten nie należał do służby pałacowéj. P. Drançay zeszła aż nad brzeg przepaści, skąd można było daleko okiem sięgnąć. Potok płynący u stóp skały znacznie się zmniejszył, a dwoje ludzi, prowadząc każdy po dwa konie, szło drugim jego brzegiem. Łatwo można było się domyśleć, że ludzie ci szukali dogodnego dla przejścia przez potok miejsca.

P. Drançay z ściśnioném sercem wróciła do pałacu. Nie było już wątpliwości, wszystko zapowiadało bliski napad. Księżna Czawczawadze mocno znużona usnęła na chwilę, guwernantka weszła więc do pokoju księżnéj Orbeliani i zastała ją modlącą się.

— I cóż pani chcesz? — rzekła biedna wdowa, — trzeba czekać na konie; jak tylko te przyjdą — pojedziemy.

Nad rankiem kobiety księżnéj zajęły się przygotowaniami do herbaty, a o piątéj przyjechał z największym pośpiechem, konno z Telaw, lekarz domowy księżnéj, zaklinając ją żeby uchodziła konno lub pieszo, bo niebezpieczeństwo blizkie. Trudno już było uciekać z małemi dziećmi i starą ciotką, która nie zdołałaby i wiorsty ujść pieszo...

Wybiła godzina ósma. Właśnie kończono wynosić ostatnie tłomoki, kiedy na dziedzińcu rozległ się głos, mieszkającego w domu księcia, dymissyonowanego sztabs-kapitana Achwerdow'a: *modjan!* (idą)! Na te słowa wszyscy obecni zdrętwieli. Będący przy powozach ludzie rozbiegli się w różne strony, doktor z kilku służącymi poszedł na spotkanie nieprzyjaciół, a księżna, zebrawszy domowe kobiety, kazała im iść na górę do belwederu, w tém przekonaniu, że czeczeńcy znalazłszy dość do rabunku w dolném piętrze domu, nie pójdą wyżéj Między kobietami, prócz trzech księżn, księżniczki Baratow, guwernantki i pokojowych, była i stuletnia mamka księcia Czawczawadze. Ukrywszy się w najciemniejszym kątku belwederu, wszyscy w trwożliwém milczeniu oczekiwali ukazania się nieprzyjaciół. Ciszę tę przerwał tylko poważny głos księżnéj Czawczawadze: „módlmy się, śmierć się zbliża.“ — I w rzeczy samej ocalenie zdawało się niemożebném. Księżna jednak chciała

([27]) Tłumaczenie, rozumienie koranu.

ze wszystkiemi podzielać równy los, grożący mieszkańcom Cynandał niewolą, a może i śmiercią.

Kiedy wszyscy byli już na górze, zjawił się jakiś włościanin z piłą i oświadczył księżnéj, że przyszedł ją bronić. Radził przytem podpiłować wschody i wziął się już był do roboty; lecz księżna zważywszy nieużyteczność obrony jednego człowieka, przeciw licznej zapewne hordzie i obawiając się nadto, żeby górale, nie znalazłszy wschodów nie podpalili belwederu, kazała mu zaprzestać piłowania a myśleć raczéj o schronieniu dla siebie.

Postrzegłszy guwernantkę, księżna Czawczawadze odezwała się do niéj po francusku „Madame Drançay! quelle fatale destinée „vous réunit à nous en ce moment! Pardonnez moi d'en avoir été „plus ou moins la cause!" (1) Lękając się zaś żeby krzyk dzieci nie zwrócił uwagi czeczeńców, którzy już tłumnie napełniali parter domu, księżna dała piersi najmłodszéj swojéj córeczce Lidyi, powściągając drugie od płaczu i starając się je uspokoić.

Księżna Orbeliani także nie straciła przytomności umysłu; lecz obawiając się że nie będzie mogła znieść widoku śmierci bliskich sobie osób, postanowiła umrzeć pierwsza. Z tą myślą, pobłogosławiwszy syna swego Jerzego, podeszła do drzwi i obrócona do nich twarzą, śmiało oczekiwała nieprzyjaciół. Obok niéj stanęła i księżniczka Baratow'a. W téj chwili księżna Czawczawadze, z dzieckiem przy piersi, pada na kolana, tyłem do drzwi, żeby nie widzieć ciosu kiedy go jéj zadadzą, a reszta kobiet grupuje się w jednę massę klęczącą, cisnąc się jedne do drugich.

Na dolném piętrze i w ogrodzie słychać było dzikie krzyki czeczeńców, pękanie wybijanych szyb i tłuczonych zwierciadeł, brzęk ciskanego o podłogę srébra i łoskot łamanych mebli, połączone z niestrojnymi akordami, które rabusie z dwóch fortepianów wydobywali. Przez okienko w dachu można było widzieć, jak ogród coraz więcéj napełniał się ludźmi z okrutnym wyrazem twarzy, w zawojach, papachach i baszłykach, z których dalsi ciągnęli za sobą konie po pochyłości urwiska, mianego dotąd za niedostępne.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(*Dalszy ciąg*).

Sybilla wiedziała że stryj chce ją drażnić tylko; ale uczucie łatwo dotknąć boleśnie. Na jéj rosnącą życzliwość dla stryja, uwagi jego o Blance wpłynęły bardzo ochładzająco. Spojrzawszy na jéj poważną, zasmuconą minę uśmiechnął się.

— Widzę że jesteś dobre dziecko, powiedział, dobra dusza, pełna uczucia, i pewny jestem, że będziemy ze sobą w doskonałych stosunkach.

Sybilla w téj chwili nie była tego pewną, ale mimo to starała się spojrzeć uprzejmie, a za spojrzeniem poszło i uczucie.

Obejście się nowego stryja, otwarte i naturalne, było rodzajem talizmanu, którym zdobywał sobie ludzi. Mało kto mógł oprzeć się temu połączeniu szczerości i dobrego humoru, jakie się w jego twarzy malowały, a tak niedoświadczona panienka jak Sybilla, nieprzyzwyczajona do towarzystwa, nie miała ani chłodu, ani taktu wytrwnego do oparcia się wrażeniu. Wistocie ani myślała o tém. Stryj wydał jéj się niezmiernie miłém towarzystwem. Był tak zręczny w rozmowie, jak pani Mush, a wydawał się mieć lepsze serce. Był też o wiele młodszym od kuzyny Sybilli, a młodzi lubią młodych, chociaż stryj Edward był młodym tylko przez porównanie. To też Sybilla miała dla niego serce otwarte. Rozmawiała, śmiała się, była tak swobodną, jakby go już od wielu lat znała. Stryjowi się to podobało; podobał mu się i ogród i łagodny, ciepły wieczór, zapowiadający nadejście lata.

— Cożeś dzisiaj czytała? zapytał. Ojciec powiedział mi, że bardzo lubisz czytać.

— Czytałam Liwiusza.

— Liwiusza! — co to za autor?

Gdyby Sybilla mogła widzieć Stryja, odkryłaby pewien żartobliwy błysk w jego szarych oczach; ale wieczór się ściemniał i nie spostrzegła złośliwości w zapytaniu; litując się więc w duszy nad jego nieświadomością, odpowiedziała:

— To był rzymski historyk, mój stryju, a ja przeczytałam jego opis śmierci Wirginii, — znakomity!

— Wistocie?

Zdawał się być zaciekawiony; Sybilla więc chcąc go objaśnić mówiła daléj:

— Niegodziwy człowiek, decemvir, chciał z niéj zrobić niewolnicę, a ojciec jéj, Wirginiusz, aby ją uchronić od niewoli, śmierć jéj zadał.

— To było gwałtowne lekarstwo.

— Nie zagwałtowne, żywo odpowiedziała Sybilla. Sądzę iż lepiéj jéj było umierać niż zostać niewolnicą Klaudiusza. Chwycił więc za nóż w Forum i zabił ją... i dobrze zrobił!

— Mówisz jak poganka.

— Ach, gdybym tylko mogła widzieć Forum! mówiła daléj Sybilla, nie zwracając uwagi na słowa stryja, — gdybym tylko mogła je widzieć!

— Czy chcesz nateraz zadowolnić się stereoskopem, Sybillo? Mam je właśnie.

— Masz stryju Forum! krzyknęła, a oczy jéj zabłysły.

— Pójdź, obejrzyj.

Weszli do jadalnego pokoju. Stryj Edward zadzwonił, kazał Denizie podać światło i przynieść czarne, kwadratowe pudełko, stojące na stole w jego pokoju. Wkrótce z niém powróciła. Stryj Edward założył fotogram z widokiem i wręczywszy przyrząd Sybilli, siadł, przechylił się w krześle i spoglądał na siostrzenicę. Sybilla długo i chciwie patrzała. Ujrzała kilka wysokich porospadanych kolumn, rysujących się na tle nieba; łuk stał w pewnéj odległości, a trawą zarosłe ruiny leżały na pierwszym planie. Serce jéj biło, lica się zarumieniły. To było Forum. Ale gdzie był Decemvir? gdzie tłumy ludu, które patrzyły na śmierć Wirginii i powstały aby ją pomścić?

— Alež to pustynia — rzekła z westchnieniem.

— Niezupełnie, ale prawie pustynia. Pustynia, to wielki mistrz Sybillo. Gdzie raz była, tam będzie znowu. Czytałam kiedyś że cienisty las rosł obok opactwa Westminsterskiego. Nie wątpię że gdy wieki przejdą będzie tam rosł znowu. Potężne dęby powstaną na tém grobowém zaciszu poetów, ptaki śpiewać będą na gałęziach i budować gniazda, a proch bohaterów żywić będzie korzenie jaworów i brzóz. I dobrze będzie tak, Sybillo!

— Tak, ale to nie jest rzeczywiste Forum; nie takie, jakie sobie wyobrażałam.

— Nazwiska ruin stanowią głównie ich piękność. Patrz, to jest Via-Sacra, a gdzieś niedaleko po za nią znaleziono Romulusa i Remusa. Ten łuk wzniósł Tytus, po zburzeniu Jerozolimy, a w pobliżu tych kolumn Kurcjusz rzucił się w przepaść.

— Stryj widział Forum! — zawołała Sybilla, patrząc z roskoszą na oczy które oglądały najsławniejsze miejsca starożytnych dziejów.

— Widziałem,—i to Forum, miejsce zebrania się Rzymian, znalazłem tak milczące, jak ów wizerunek na szkle, który masz przed sobą. Widziałem i Kolosemu, gdzie barbarzyńcy walczyli i umierali, podczas gdy Cezar i Westalki i cały Rzym przypatrywali się, — a było to takie powabne widowisko! Widziałem daléj ruiny pałaców i pustą Kampanję i długie szeregi starych grobów przy Via-Appia i tym podobne rzeczy.

Sybilla klasnęła w dłonie i rzekła, że mu zazdrości.

Stryj wstrząsnął gęstym włosem, nakształt grzywy, i rozśmiał się.

— Jesteś Rzymianką, od stóp do głów; i ja kiedyś taki byłem, ale później przyszło mi znienawidzieć tych chciwych, starych pogan. Trudna z tobą dysputa, moja siostrzenico; — uważasz mnie za heretyka, a siebie za rzymską damę; ale gdzież proszę wązka *stola* z szerokim pasem i bramowaniem ze złota i purpury? Czy masz na sobie owo *opus Phrygianum*, o którém przypuszczają starożytnicy że było rodzajem koronki? Czy dla utrzymania chłodu nosisz w rękach kulę bursztynową, a na szyi żywego węża? Nic z tego wszystkiego — ani welonu, ani szerokiéj *palli*. Nie siostrzenico, tyś chyba nie Rzymianka.

(1) Pani Drançay! Co za los fatalny złączył panią w téj chwili z nami! Przebacz mi, żem mniéj lub więcéj była do tego powodem!

— Więc stryj twierdzi że Wirginia tak była ubrana? zawołała żywo Sybilla.

— No, nie mówię o Rzymiankach z czasów cesarstwa, nierepublikankach.

— Stryj uczony, — rzekła Sybilla; — widzę że i Liwiusza czytał, a mnie tylko ciągnął za słowo,— to brzydko, stryju.

— Przyznaję — rzekł skromnie — ale widzisz, już takie moje upodobanie. Cóż więcéj dzisiaj czytałaś? — Nie chcesz mówić, a jednak trzeba, — inaczéj jakże się zapoznamy? Książki które kto czyta, tak dobrze go cechują jak i własne jego myśli.

— Dobrze, cóż więc stryj czytał?

— Kiedym jechał koleją żelazną, czytałem bardzo smutną książkę — Don Kiszota.

— Smutną, — stryj nazywa ją smutną! zawołała Sybilla, wstrząsając bujnymi kędziorami. Ja nigdy nie mogłam jéj czytać bez serdecznego śmiechu.

— Tak, młodość jest niemiłosierna. I ja także kiedyś śmiałem się z Don Kiszota, wyszydzanego, w przysłowie weszłego waryjata. Ten wielki rycerz, grzeczny, szlachetny, był waryjatem — w istocie. Wierzył w honor rycerski, w piękność, cnotę i nieszczęście kobiet; szedł w świat szukając krzywd do naprawienia, uciśnionych dla dania im opieki, olbrzymów złych, których pragnął pokonać. A kochał się w Dulcynei, pięknym, sprofanowanym obrazie! Kochał miłością czystą, zacną. Biedny rycerzu, dzieje twoje spisał wielki geniusz, nie wiadomo, czy smutkiem, czy pogardą przejęty!

Sybilla patrzała zdziwiona, starając się odczytać wyraz twarzy stryja, ale napróżno. Jéj młodość i szczupłe doświadczenie nie wystarczały do takiego zadania.

A inną jaką książkę czytałeś, stryju? zapytała w zamyśleniu. Stryj rozśmiał się z cicha lecz serdecznie.

— Chcesz mnie więc koniecznie wyciągnąć na słowa,—rzekł wesoło; — moja panienko, temu nie podołasz. Czytać w twojéj duszy, to przywiléj moich lat i mego doświadczenia; ty zaś ciesz się że młodość i nieświadomość nie dozwalają ci mnie czytać. Ja jestem stary ptak — sokół — inaczéj nie podołałbym drodze życia; ty, jak dotąd, jesteś białą gołąbką, niewinną i czystą. Obyś taką została długo! bardzo długo!

Spojrzenie i głos jego, pełne dobroci, łagodziły zbytnią może otwartość uwag jakie czynił, w których zresztą Sybilla łatwo odkryła szacunek, jaki każda szlachetna, męzka natura czuje dla dziewiczości i niewinności.

— Ile masz lat moja siostrzenico? nagle zapytał.

— Siedmnaście skończyłam w kwietniu.

— Siedmnaście! Zatem widziałem cię czternaście lat temu. Zmieniłaś się, urosłaś, ale zachowałaś owe figlarne czarne oczy małéj dziewczynki.

Sybilli różne pytania tłoczyły się do głowy. Gdzie przez te lata przebywał, dla czego nigdy o nim przy niéj nie wspominano? Słowa drżały jéj na ustach, ale nie miała czasu ich wypowiedzieć. Drzwi jadalni otworzyły się i nagle pokazał się Kennedy.

— No, Sybillo — zapytał wesoło — rozsądnie rozmawiałaś z stryjem Edwardem, poznajomiłaś się z nim?

— O, bardzo dobrze, odpowiedziała, skinąwszy głową. Rozśmieli się oboje, ale Sybilla czuła to co mówiła. A gdy szła na noc po schodach do swego pokoju, myślała sobie że stryj jest bardzo miły człowiek. We śnie wyobrażała go sobie narzeczonym Blanki Cains, podczas, gdy sama, jako druchna, stała obok nich przy ołtarzu.

ROZDZIAŁ VII.

Sen Sybilli dalekim się jednak wydawał od rzeczywistości. Gdy na drugi dzień stryj jéj wszedł do ogrodu, spotkał ją w galeryi klasztornéj z listem otwartym w ręku i ze łzami w oczach.

— Co ci jest, moja siostrzenico, zapytał czule, — powiedz mi, może ci mogę być w czém pomocnym?

Sybilla spojrzała w twarz jego i opowiedziała mu swój kłopot.

— Odebrałam list od swojéj przyjaciółki, w którym prosi mnie abym jéj wyszukała miejsca w jakiéj pensyi, lub w jakiéj rodzinie w Saint-Vincent; a ojciec nie chce żebym się w to wdawała, nie chce mi nawet pozwolić mówić z panią Roland. Powiada że ja nie mam wyobrażenia o kwalifikacyi wymaganéj od nauczycielek. Więc jakże może się Blance powodzić, jeżeli nikt jéj nie chce pomagać? Powiedz stryju, cóż ja mam robić?

Stryj nie odrazu odpowiedział; wydał się zarazem zakłopotany i zmięszany.

— Mój stryju — mówiła daléj Sybilla — zebrałam sobie pięćdziesiąt franków, dwa funty sterlingi, licząc po angielsku; czy sądzisz że mogę je posłać Blance? Te pieniądze są moje, a Blanka nie weźmie mi za złe takiéj ofiary. Ona taka dobra.

— Nie, Sybillo, pozwól że ci pożyczę trochę pieniędzy; jéj zaś możesz napisać żeś dostała je od przyjaciela.

— Nie, nie, przerwała Sybilla, tylko moje pieniądze jéj poszlę. Nie mogę sama posłać i byłabym wdzięczna stryjowi gdybyś chciał się tém zająć.

— Dobrze, na twoję wdzięczność warto zasłużyć, zrobię to.

— Zaraz przyniosę pieniądze, zawołała Sybilla.

— Możesz mi je później zwrócić.

— Nie, nie, — to muszą być moje pieniądze.

— Tak? — przynieś je zatem.

Sybilla pobiegła i powróciła jednym tchem. Oczy jéj błyszczały od radości gdy mu wręczała duże sztuki złota. Brzęknął niemi wesoło stryj Edward i rzekł:

— Cały twój mały skarb. Czy napisać kwit?

— Nie, nie, — żwawo odpowiedziała Sybilla;—tylko odeszlij stryj dzisiaj, jeżeli możesz.

— Zaraz rano. Co to za piękny klasztor Sybillo?.. wszak mi pozwolisz zapalić cygaro?

— Owszem stryju; ale nie zapomnisz wysłać pieniędzy?

— Nie miéj o to najmniejszéj obawy. Jak ładnie ten krzyż wyrzeźbiony; podoba mi się to stare opactwo.

— I mnie by się podobało, gdyby Blanka tu była — westchnęła Sybilla — ale podobno ojciec nigdy mi jéj tu zaprosić nie pozwoli. Widocznie jest ku niéj uprzedzony.

— Może zazdrosny, gdyż wyraźnie szalejesz moja siostrzenico za tą miss — jakże się nazywa?

— Cains.

— Cains? straszne nazwisko.

— Cains mój stryju, a jaka dobra, ty byś ją uwielbiał!

Stryj uśmiechnął się nieco sceptycznie, chociaż z dobrocią. Podobało mu się to uwielbienie przyjaciółki u młodego dziewczęcia, tak gorące, tak bezinteresowne.

— A i on Blance jakby się podobał! — myślała Sybilla, — szkoda gdyby się nigdy spotkać nie mieli. Doskonałaby stanowili parę, a Blanka zostałaby moją stryjenką!

Było coś zdradzającego ją w spojrzeniu, gdy doszła do téj konkluzyi, tak, iż stryj zarumienił się nieco; miał jeszcze bowiem ową drażliwość uczucia, objawiającą się rumieńcem.

— No, cóż takiego? powiedział prędko.

Teraz zarumieniła się Sybilla.

— Nic, wyjąknęła, — ale czy tylko o liście nie zapomnisz, mój stryju.

— Lepiéj go już odrazu odeszlę, ażeby zadowolnić moję siostrzenicę.

— Zrób tak, mój stryju, proszę.

— Zatem, do widzenia.

Skinął głową i wszedł do domu. Sybilla pozostała w galeryi, przechadzając się w tę i ową stronę Było jéj spokojnie i lubo. Sybilla czuła się wesołą i szczęśliwą. Zapomniała o niepewnéj przyszłości biednéj miss Cains; pamiętała tylko że posłała jéj pięćdziesiąt franków. Zamłodą była gospodynią izby mogła wiedzieć że summa taka nie wystarczy na długo. Sybilli wydała się dużą, i pewna była że przy téj pomocy Blanka będzie mogła opuścić panią Blunt i wyszukać sobie gdzieindziéj pomieszczenia. A Blanka tak była dobra, tak zręczna, tak czarująca, że ostatecznie musi znaleść pomieszczenie.—W takich błogich myślach Sybilla przechadzala się po klasztorze, przez znaczną część dnia. Dopiero gdy minął czas odejścia poczty, przypomniała sobie z rospaczą że nie dała stryjowi adresu panny Cains. Była właśnie w bibliotece i czytała, kiedy jéj myśl ta przyszła do głowy. Rzuciła książkę i pobiegła do ogrodu, gdzie właśnie mignęła postać stryja. Obrócił się słysząc jéj spieszne kroki i powitał uśmiechem, ale Sybilla zawołała z ubolewaniem:

— Ach, drogi stryju, nie dałam ci adresu.

Stryj Edward uśmiechnął się i powiedział.

— Miss Cains mieszka w Greenery, Brompton.

— Skąd wiesz, stryju?

— Trzymałaś list w ten sposób, że musiałem przeczytać te kilka wyrazów.

Sybilla się zmięszała; a jeżeli czytał i ten pierwszy ustęp w liście Blanki: — Tak więc postanowiłaś nie cierpieć swego stryja? Rób jak chcesz, ja tymczasem mam tu kłopoty innego rodzaju..?

— Daję słowo, — rzekł uroczyście stryj, — nic więcéj nie czytałem i nie widziałem.

Sybilla zarumieniła się, widząc że stryj odgadł przyczynę jéj kłopotu; cieszyła się jednak że te bystre, siwe oczy nie dopatrzyły słów które go dotyczyły.

— Bo ja go lubię, myślała, idąc obok niego, — lubię go i coraz bardziéj będę lubić, wiém o tém.

— List odszedł, a panna Cains odbierze go jutro wieczór, — powiedział stryj Edward.

Sybilla spojrzała na niego z powagą.

— Mój stryju, rzekła, jakże jesteś skory i zręczny, żeś tak odrazu dojrzał adres. Jaka szkoda żeś nie był tu razem z panem Smith.

Zamilkł przez chwilę, a potém rzekł zwolna:

— Pan Smith — kto to taki?

— To jest właśnie ten.... któż on jest? Nie mogę dojść tego. Zdaje się być ordynarnym człowiekiem, z niższéj klasy, ale czasem znów wydaje mi się być czémś inném. Zdaje mi się że on udaje prostaka. A odszedł stąd w sposób tak dziwny... Stryj by go wymiarkował gdyby tu był. Zdaje mi się że i pani Mush wiedziała co to za jeden, ale nie chciała mi powiedzieć

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIĄZANKA.

Warszawa jest miastem, któremu wszelkie tryumfy zawracają głowę. Każdy komu się coś powiedzie, może być pewnym uwielbienia ogółu. Dla tego też obecnie wszyscy tu zajęci są śpiewaniem hymnów na cześć panny Miller Czechowskiéj, która czterema debiutami zrobiła sobie już szeroką sławę. Ostatni, w *Żydówce* Halevego, odznaczył się istotnie faktem niepospolitym: Na dwie godziny przed rozpoczęciem widowiska, kassa teatru została zamknięta. Wypadek taki w dniu 1-ym sierpnia, jako w porze najsroższych upałów, które saię wielkiego teatru zamieniają w istną łaźnię parową, jest istotnie rzadkim, prawie niepamiętnym u nas! — Nie ubliża to jednak bynajmniéj wpływowi, jaki nad nami posiada i realizm ścisły; gdyby albowiem zapowiedziano w dzień najbardziéj upalny, że wieczorem w sali np. redutowej, rozdawać będą gotówkę, każdemu kto się tam zgłosi, to niezawodnie wszystkie złączone sale, nie wyłączając nawet przesiąkłego liryką lokalu „Towarzystwa muzycznego“, zostałyby przepełnione, — a kassę... jeszcze prędzéj zamknąćby musiano.

Jako fakt zupełnie świeży, zapowiadają nam jeszcze jedną zabawę kwiatową połączoną z loteryą fantową w ogrodzie saskim; — lecz zapewne w chwili, gdy tę „wiązankę“ czytać będziecie, już ta nowość należéć będzie do historyi — chyba, że deszcz, o który w tego-rocznem lecie nietrudno, spowoduje odłożenie zabawy. Ochronki tutejsze po dobytych teraz dorocznych wizytach jeneralnych, składają w pismach publicznych podziękowania za ofiarowane dla ich elewów płci obojéj, dary osób dobroczynnych; nic to nowego! — Warszawianie słyną z gotowości do wszelkich ofiar na cale dobroczynne: składają oni ciągle dary na rozmaite instytucye filantropijne, na restauracye kościołów i t. p., a nawet i pojedynczym potrzebom chętnie w pomoc przychodzą. Dość powiedzieć, że kupili nawet dobra guwernantce, angielce za milijon ... zużytych marek pocztowych! O ile z ogłoszeń po kuryerach uważać można, największą hojność w składaniu wszelkich ofiar dobroczynnych lub pobożnych, okazują kupcy tutejsi — to nie tak, jak np. w Kolonji (nad Renem), gdzie w puszce przybitej do ściany tamtejszéj giełdy, przeznaczonéj do wrzucania składek na dokończenie budowy sławnéj katedry, po ośmiu latach znaleziono, otworzywszy ją, dziesięć groszy! prawda, że srebrnych za to...

Jeżeli jednak dobroczynność kwitnie w Warszawie, za to wydawnictwo książek w opłakaném się tu znajduje położeniu. Dwie są główne przyczyny takiéj w edytorstwie stagnacyi: brak zdolnych autorów i niedostatek czytelników; zdaje się, że ten drugi od pierwszego pochodzi... Jednakże brak piszących nie przeszkadza, nie tylko istnieniu tylu już bytujących pism peryodycznych i gazet, ale nawet zakładaniu nowych. O ile nam wiadomo, mnóstwo różnego gatunku i rozmiaru nowych „organów“ prasy, wychodzić zacznie jeszcze w bieżącym roku lub z początkiem przyszłego. Głoszą, że niektóre z tych pism, wydawane będą po cenach tak niskich, że edytorowie onych, dopiero po zebraniu dziesięciu tysięcy prenumeratorów zyskiwać coś przecie będą. A może też który z wydawców *in spe*, chcąc się bardziéj jeszcze odznaczyć, będzie dopłacał abonentom za czytanie jego organu, lub przynajmniéj, na sposób amerykański, wyznaczy dla każdego rocznego prenumeratora premium złożone np. z garnituru kompletnego ubioru, respective do płci abonenta, co zresztą, tem łatwiéj spełnić można, że już obecnie tamże, w Ameryce, wyrabiają całe takie garnitury z papieru popruszonego kauczukową massą. Cóż? gdyby tak jeszcze garnitur podobny zadrukować codziennie wiadomościami z literatury, sztuki, a i politycznemi nawet? Każdy prenumerator miałby zaraz i egzemplarz pisma na sobie, a niecierpliwsi statyści mogliby, nie troszcząc się, spojrzeć tylko po sobie i dowiedzieć się od razu, co się naprzykład w Stanach jakichś lub w Portugalji dzieje! Żart na stronę, a taka ogromna konsumpcya papieru na wyroby, przedtem całkiem nieznane, musi spowodować znaczne podrożenie tego tła, na którém piszemy i drukujemy nasze myśli, uczucia lub i niedorzeczności nawet. Może to skłoni wydawców do posługiwania się tylko takiemi piórami, które na małéj przestrzeni miejsca, wiele pożytecznych rzeczy pomieścić potrafią. Doprawdy! aż strach nas bierze, szczególniéj nas, feljetonistów, ze szkoły braterskiego Lècomt'a, którzy zamiast rozsypywać ziarna faktów, aby je każdy z czytelników mógł sobie wybierać wedle gustu i upodobania, siejemy tylko wątłe listeczki, które za chwilę więdną i schną od razu. Ale cóż chcecie? wszakże według teoryi spirytyzmu, w każdym listku osóbny duch się kryje... Szczęściem jednakże takie „rozproszone“ traktowanie przedmiotów, spotykanych w sprawozdawczéj wędrówce, nie przeszkodziło nam dopatrzeć istnéj kurjozy ukrytéj w szpaltach „Przeglądu Tygodniowego“ (N. 31). Jest tam artykuł pod tytułem „Pleśń społeczna i literacka“, napisany może z zbyt wielkim w pewnych wyrażeniach ferworem, lecz za to obejmujący w sobie myśl, którą w zupełności prawie podzielając, spieszymy zwrócić uwagę czytelników na artykuł wspomniony.

Gdyby-ż tak można było, piórem, choćby i orlém nawet, zgarnąć czy zmieść z życia społecznego i działalności literackiej tę pleśń nieszczęsną! Lecz na to potrzebaby piór „powołanych“ takich, o jakich, pisząc niegdyś poeta, powiedział ażeby były piórami, „któremi ospę z krwią mieszają młodą, lub je za wartkie strzałom przytwierdzają grzywy“, a u nas, teraz przynajmniej, największa część piór służy w najlepszym razie za rydle do kopania... kartofli na kuchnię domową, w gorszym zaś, za sztyleciki lub szpileczki tylko, którymi literaccy *bravi* Warszawscy kłują się między sobą i to jeszcze nie do krwi, lecz do... limfy tylko. Doprawdy, ani się spostrzegliśmy, że wzmianka o *Pleśni* doprowadziła nas do poważnego nastroju, który raz już postanowiliśmy odłożyć aż do nastania słot i wichrów jesiennych.

Apropos deszczu i jesieni, nie wiemy czy sam nawet Wallenrod, który zachęcając przebranego Halbana do śpiewu, mówił, że lubi zasypiać przy odgłosie fali jesiennego deszczu, zasnąłby spokojnie raz chociaż, gdyby, zamiast wielkim mistrzem krzyżackim los uczynił go był dzierżawcą jednego z ogródkowych teatrzyków Warszawskich? Biedni ci przedsiębiercy... wystroiwszy ładnie swoje letnie scenki, uprzątnąwszy pięknie ogródki i zaopatrzywszy bufety w niewyczerpane potoki gambrinusowego napoju, mniemali, że już te ogródki dostarczą im z pewnością, na wzór Hesperyjskich, gromadę złocistych jabłuszek. I mieliby je niezawodnie, gdyby nie deszcz tak częsty, tak uparty, który im te złote owoce w kwaśne ogórki zamienił! Pomimo to jednak wędrowne trupy goszczące obecnie w Warszawie, krzątają się pilnie, a jedna z nich szczególniéj, w Tivoli, przedstawia nawet, od czasu do czasu, nowe całkiem lub też nieznane na tutejszych scenach sztuki.

Bawiąca tu czasowo, słynna za granicą pod nazwiskiem Friderici, prima dona, właściwie zaś pani Jakowicka, przed wyjazdem do Ameryki wystąpi u nas gościnnie, w roli Małgorzaty, w Fauście.

Nie tylko na mięso ale i na owoce drożyzna w Warszawie wzrasta— dość powiedzieć, że nawet najlichszy gatunek wisien czarnych, które zwykle, bez ogonków, garncami lub beczkami na soki i konfitury sprzedawano, teraz sprzedają na wagę i za funt żądają 7½ kopiejek! Możnaby się jednak pocieszyć uwagą, że owoce nie zawsze dobrze na stan sanitarny wypływają, zwłaszcza obecnie, i że drogość ich spowoduje mniejszą i oględniejszą konsumpcję.

Kogo interesują strzeleckie próby i ćwiczenia, temu donosimy, że w strzelnicy, w ogrodzie saskim, odbyło się przed tygodniem rozdanie nagród przysądzonych na konkursie, i że nagrodzeni ofiarowali kontrolerowi, téj strzelnicy pierścień brylantowy; oczywiście kontroler najcelniéj trafił.

Tym z czytelników naszych, którzy już posiwieli, z wieku czy z trosk może, (to ostatnie żonatych dotyczy), lub którzy już, już posiwieć mają, dajemy przestrogę, ażeby dla oszczędzenia sobie przykrości nie czytywali dodatków z doniesieniami, w obydwóch kurjerach tutejszych, albowiem na samém czele jednego z anonsów tam umieszczonych, wydrukowany jest wielkiemi literami wykrzyknik „Precz z siwizną!“ Rozumie się, że pod spodem takiéj eksplodującej frazy, znajduje się reklama wychwalająca jakąś substancję farbującą doskonale siwe włosy. Miły Boże! Dawniej siwizna wzniecała szacunek powszechny, a dziś „precz z nią, iść każą!“ Nie musi być jednak skutecznym środek zalecany w sposób tak energiczny, albowiem obadwaj redaktorowie tych kurjerów, widocznie go nie użyli dotąd.

△

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою 24 Іюля (5 Августа) 1871 г. — Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.